



czerwiec 2001 (6/6)

Teraz My!

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI L.O. im. Hugona Kołłątaja

W numerze

| | |
|--------------------------------------|----|
| Co widzi tęcza? | 1 |
| Przyjaciółki | 3 |
| Czyste szaleństwo | 5 |
| Moja wina | 7 |
| Stańczyk | 9 |
| Judyta z głową Holofernesa | 11 |

Redakcja

Epika

Zbigniew Łukowski 2a

Magdalena Zembrzuska 1f

Agata Wójt 1f

Eseistyka

Karolina Siwek 2a

Monika Auguścik 2a

Joanna Chacińska 1f

Marta Krzemińska 1f

Liryka

Karolina Wełnicka 2a

Marta Bereza 1f

Dominika Ruszkowska 1f

Wydarzenia kulturalne

Karolina Wełnicka 2a

Rysunki

Jerzy Kołakowski 2a

Marta Krzemińska 1f

Felieton

Jerzy Kołakowski 2a

Opieka dydaktyczna i pedagogiczna

mgr Grażyna Róziewicz

Opieka edytorska

mgr Aleksandra Wróblewska

Co widzi tęcza?

Joanna Chacińska, kl. 1f

Zwykle pomagałam Herze przy porannej toalecie, słałam jej łóżko, a następnie zabierałam ją na przejażdżkę nad światem prowadząc złocisty rydwan zaprzężony w dwa błękitne pawie. Wczoraj jednak królowa bogów zapragnęła odbyć swą podróż samotnie. Nie zmartwiło mnie to zbyt — miałam czas na odpoczynek. Postanowiłam jednak wykorzystać jej nieobecność w inny sposób. Nieopatrzenie zakradłam się do sypialni białoramiennej bogini. Był tam bowiem cudowny przedmiot, który od dawna mnie fascynował — zwierciadło o magicznych właściwościach. Dzięki niemu Hera mogła obserwować, kogo chciała — nie tylko śmiertelników czy herosów, ale także bogów, którzy mimo swych niezwykłych umiejętności nie potrafili się ukryć przed mocą lustra. O jego istnieniu, oprócz Białoramiennej, wiedziałam tylko ja — córka boga rzeki Inachos.

Gdy tylko upewniłam się, że nikogo z mieszkańców Olimpu nie ma w pobliżu, wyjęłam zwierciadło ze skrytki i po chwili zastanowienia wypowiedziałam imię postaci, którą chciałam zobaczyć. To, co ujrzałam, nie było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Pierwszym, co spostrzegłam, była czarna, gęsta, chmura, którą zwykle zasłaniał się Dzeus ukrywając coś lub kogoś przed swą żoną.

Tym razem była to Io — córka boga rzeki Inachos. Obserwowałam tę parę kilkanaście minut. Uśmiechnięci spacerowali wzdłuż strumienia, obejmowali się, rozmawiali. Słyszałam ich namiętne westchnienia.

Wiedziałam, że król bogów odwiedzał Io już wcześniej. Hera też coś chyba podejrzewała. Gdy siedziała smętnie zamyślona, miałam wrażenie, iż obmyśla jakiś sposób na ukaranie męża. Mimo że pomiędzy Dzeusem a Io działy się coraz ciekawsze rzeczy, musiałam odłożyć lustro na miejsce, gdyż zbliżał się czas powrotu mojej pani.

Do pałacu Hera weszła bardzo rozgniewana. W jej oczach widziałam wściekłość, ale i cierpienie. Posłała mnie na ziemię, bym sprowadziła Dzeusa. Rozłożyłam moje szerokie, mieniące się barwami słońca skrzydła i po krótkiej chwili znajdowałam się już w miejscu spotkania nimfy z Gromowładnym. Niestety, nie zastałam tam zakochanej pary. Pomyślałam, że pomocy w poszukiwaniach mogłyby mi udzielić driady zamieszkujące pobliski las. Nie zdawałam sobie sprawy, iż może tam na mnie czyhać niebezpieczeństwo. Przemierzając gęstwiny nie spotkałam wprawdzie żadnej z nimf leśnych, jednak nie wydało mi się to dziwne.

Wreszcie spostrzegłam niewielką, cudowną polankę. Uznałam, że należy mi się chwila odpoczynku. Wsłuchując się w uroczy śpiew ptaków zamknęłam oczy i nie wiedząc kiedy, zapadłam w drzemkę.

Nagle obudziły mnie dziwne odgłosy. Zobaczyłam grupę satyrów podążających w moją stronę. Fauni znani są z krnąbrności i nieustępliwości. Czasami ośmielają się napadać nawet na boginie. Ogarnął mnie strach. Staralam się jak najszybciej wzbić w powietrze, lecz satyrowie byli już bardzo blisko. Poczułam przenikliwy ból, gdy jeden z nich szarpnął mnie mocno, ale na szczęście udało mi się uciec.

Z trudem powróciłam do pałacu. Dopiero w swojej komnacie zauważyłam, że z mego prawego skrzydła zostało wyrwanych kilka tęczowych piór.

Zaraz potem wezwała mnie Hera. Oznajmiła mi, że wie, iż używałam jej zwierciadła. Obiecała, że mnie nie ukarze, jeśli jej pomogę. Wiem dobrze, jakie kary stosuje królowa bogów, więc od razu przystałam na jej propozycję. Białoramienna wyjaśniła mi przyczynę samotnej przejażdżki — otóż chciała się upewnić, czy rzeczywiście jest zdradzana. Od razu zrozumiałam, czego będzie ode mnie oczekiwać i nie myliłam się. Bogini wyjawiała mi plan zemsty, który opracowywała od kilku dni. Mój udział nie był zbyt wielki. Ulżyło mi, gdyż nie lubię się narażać władcom świata, a zwłaszcza — Dzeusowi.

Było już późno, gdy wyruszyłam do odległej krainy po Argosa — stutokiego, nie śpiącego nigdy potwora. Przekazałam mu polecenia i wskazówki Hery, i powróciłam na Olimp.

Dziś z samego rana zabrałam Białoramienną jej rydwanem nad strumień Inachos. Hera uczyniła się niewidzialną i sprawiła także, że zniknął powóz. Tu zaczęła się moja rola. Poprosiłam jedną z nimf bawiących się nad rzeką, by przekazała Io, iż czekam na nią z niezwykle ważną wiadomością od Dzeusa.

Po kilku minutach kochanka Gromowładnego wybiegła z zamku swego ojca. Była szczęśliwa, na pięknej twarzy widniał uśmiech. Gdy tak na nią patrzyłam, zrobiło mi się jej żal. Chciałam ją nawet ostrzec, jednak nie zdążyłam.

Hera skierowała swój lodowaty a zarazem żądny zemsty wzrok w stronę dziewczyny i ta w jednej chwili zamieniła się w jałówkę. Następnie bogini rozkazała Argosowi ukryć Io w jednej ze wskazanych mu wcześniej świątyń i strzec jej. Nie wiem, gdzie wtedy znajdował się Dzeus, ale myślę, że przyglądał się on całemu zajściu. Nie rozumiem, dlaczego nie

walczył o swą miłość i uległ Herze. Może po prostu nie było to prawdziwe uczucie? A może wolał uniknąć awantury?

Żona władcy piorunów powróciła na Olimp sama. Widziałam po jej minie, że jest z siebie bardzo zadowolona. Zawsze dziwi mnie to, że potrafi się ona cieszyć tymi krótkimi chwilami triumfu nad własnym mężem. . .

Dla mnie dzień się jeszcze nie skończył. Musiałam rozpiąć na niebie cudowny siedmiobarwny łuk — znak, iż stęskniona Białoramienna oczekuje na Olimpie na powrót męża. Zanim jednak umieściłam na nieboskłonie ostatnie — fioletowe pasmo, przez chwilę miałam wrażenie, iż widzę Gromowładnego jak przez okno pewnego pałacu podgląda Ledę — królową lakońską.

Ale może mi się tylko zdawało. . .

Przyjaciółki

Magdalena Zembrzuska, kl.1f

Bardzo poruszyła mnie historia, którą niedawno usłyszałam z ust mojej koleżanki. Uświadomiła mi ona, jak mało potrafimy dostrzec w dzisiejszym świecie. Ta opowieść o przyjaźni, postrzeganiu świata i o życiu zmusiła mnie do tego, abym rozejrzała się wokół siebie.

Kasia i Ania były uczennicami pierwszej klasy renomowanego liceum ogólnokształcącego w Warszawie. Ładne, śmiałe i bogate dziewczyny od razu przypadły sobie do gustu. Stały na czele klasy. Istne dwie duże towarzystwa, królowe dyskotek i prywatek, a zarazem bardzo dobre uczennice. Wszystkie dziewczęta w klasach pierwszych zabiegały o ich przyjaźń, a chłopcy cieszyli się każdym uśmiechem z ich strony. One jednak wołały własne towarzystwo i do bliższej przyjaźni nie dopuszczały nikogo. Stały się nierozłączne. Ufały sobie bezgranicznie i powierzały najskrytsze tajemnice. Nikt nawet nie przypuszczał, że ich przyjaźń mogłaby się zakończyć. Wydawało się to wręcz niemożliwe. Co prawda problemem było gadulstwo Kasi i jej skłonność do plotkowania, ale i to nigdy zbytnio im nie przeszkadzało.

Pewnego zimowego dnia dziewczyny, jak co piątek, umówiły się, że razem wychodzą. Jednak Ania zatelefonowała do przyjaciółki z wiadomością o odwołaniu spotkania. Plany na wieczór legły w gruzach. Kasia zażądała od przyjaciółki wytłumaczenia. Ania nieskora była do wyjaśnień, jednak uległa presji i wyjawiała największy sekret swego życia. Przed wieloma laty, gdy Ania była maleńkim dzieckiem, jej ojciec został oskarżony o morderstwo. Co prawda cała rodzina wierzyła w jego niewinność, jednak sąd był innego zdania i skazał go na dożywocie. Po pewnym czasie mama Ani rozwiodła się z jej tatą, ponownie wyszła za mąż i ułożyła sobie życie, zapewniając córce wspaniałą przyszłość. Ania jednak nigdy nie zapomniwała o ojcu. Pisała listy, robiła prezenty, odwiedzała go i kochała z całego serca. Właśnie w dniu, kiedy umówiła się z przyjaciółką, wypadł termin wizyty w więzieniu. Nie mogła przepuścić okazji spotkania się z tatą. Była pewna, że Kasia zrozumie. W końcu była jej przyjaciółką od serca. Przynajmniej tak się Ani wydawało. Naturalnie sekret miał pozostać tylko między nimi dwiema i nigdy nie wyjść na światło dzienne. Stało się inaczej.

Kasia nie dotrzymała tajemnicy. Kiedy w poniedziałek Ania przyszła do szkoły, zastała na swojej szafce rysunek, przedstawiający mężczyznę za kratami. Pomyślała, że to zbieg okoliczności. Gdy pojawiła się w klasie, zaległa grobowa cisza. Na swoim miejscu, w ławce obok Kasi, znalazła inną dziewczynę. Zaniepokojona przywitała się, ale nikt jej nie odpowiedział. Podeszła więc do przyjaciółki, aby wyjaśnić sprawę. Wtedy ta wstała i wykrzyczała na całą klasę, że nie ma zamiaru zadawać się z córką mordercy i kryminalisty. Kasia stwierdziła, że to całe zło jest zawarte w genach i że pewnie Ania nie jest lepsza niż jej ojczulek. Biedna dziewczyna stanęła jak wryta na środku klasy, łzy napłynęły jej do oczu. Nie słyszała śmiechów i wyzwisk skierowanych pod swym adresem, nie zauważyła pojawienia się nauczycielki w klasie. Ze ściśniętym gardłem wypadła ze szkoły i biegła przed siebie. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego wszystkiego. W uszach dźwięczały jej słowa przyjaciółki.

Dobiegła nad rzekę i ze szlochem rzuciła się na ziemię. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Nie potrafiła uświadomić sobie, że Kasia ją zdradziła, opuściła, ośmieszyła, obraziła. Nie tylko ją, ale także jej ojca. Zrujnowała jej życie! Jak mogła? Przecież były przyjaciółkami! Dopiero teraz Ania przejrzała na oczy, zrozumiała, że Kasia była fałszywa. Dla niej liczyły się tylko pieniądze, ładne i modne ubrania, wesołe towarzystwo. Lubiła, gdy wszyscy jej zazdrościli a przecież nikt nie zazdrościłby przyjaciółki — córki mordercy. To się nie opłacało, więc należało zakończyć tę przyjaźń. Ania uświadomiła sobie to wszystko, kiedy już było za późno. Wiedziała że, teraz i inni za przykładem Kasi ją opuszczą, że zostanie sama. To wszystko tak bardzo bolało. Ania myślała tylko o jednym, o zdradzie. Stwierdziła, że już nic nie ma sensu. Powróciły cienie przeszłości. Chciała z tym skończyć. Stanęła na brzegu urwiska i przygotowała się do skoku. Nagle ktoś złapał ją za ramię i powstrzymał przed najgorszym. Była to Marta. Jej koleżanka z klasy. Cicha, szara myszka ze wsi, dziewczyna, której nikt nie lubił. Wszyscy się z niej wyśmiewali, Ania także. Marta bez słowa przygarnęła ją do siebie. Ania nie mogła pojąć, dlaczego ona to robi. Zastanawiała się, co Marta będzie z tego miała. Ta przytuliła ją mocno i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Odprowadziła Anię do domu.

Od tego czasu widywały się codziennie. Obydwie były teraz wyrzutkami społeczności klasowej. Jednak Marta nauczyła Anię takiego życia, wytrzymałości. Pomagała jej hamować łzy. Okazało się, że u niej Ania znalazła oparcie, dobre słowo i szczerą przyjaźń. Marta bardzo pomogła jej w najtrudniejszym okresie. Wiele dla niej zrobiła i to wszystko bezinteresownie. Wystarczyło się rozejrzeć wokół siebie, aby znaleźć prawdziwy skarb, złoto które niekoniecznie błyszczą — prawdziwą przyjaźń.

Pewnego dnia Marta wyjawiała Ani swój sekret. Pokazała jej miejsce, w którym bardzo często bywa. Było to hospicjum, które niedługo przed śmiercią założyła matka Marty. Od tej pory obie dziewczyny chodziły tam regularnie i pomagały cierpiącym. Czasem tylko dobre słowo przynosiło im ulgę.

Ania rozejrzała się wokół siebie i dostrzegła, ile nieszczęść dotyka innych. Ujrzała tragedie rodzinne, osierocone dzieci, zrozpaczone matki, bezradnych lekarzy. Uświadomiła sobie, że nie ona jedna ma problemy i że jej kłopoty nie są one takie ogromne. Czym było odejście bezwartościowych osób udających przyjaciół w porównaniu z cierpieniami tych ludzi? Już się nie liczyło. Ania nauczyła się jeszcze jednej bardzo ważnej

rzeczy. Nie wstydziła się już swego ojca. Wierzyła mu, a to co myślą inni, nie miało znaczenia. W Marcie znalazła przyjaciółkę na całe życie, która była przy niej w chwilach szczęścia i rozpacz. Dzięki niej poznała wiele wspaniałych osób, które potrzebowały jej pomocy. Znalazła sens w życiu. I pomyśleć, że wystarczyło się rozejrzeć, aby dostrzec tyle ważnych spraw i problemów. To wszystko cały czas było w zasięgu jej ręki.

Historia Ani uświadomiła mi, jak mało potrafimy zauważać. Zrozumiałam, że najpiękniejsze może być niewidzialne dla oczu. Warto więc kierować się sercem, bo wówczas wiele spraw nabiera nowego znaczenia i sensu. Nie czekaj! Spróbuj!!!

Czyste szaleństwo

Magda Rogowiecka, kl. 3c

Od człowieka do prawdziwego człowieka wiedzie droga przez człowieka obłąkanego — potencjalne szaleństwo tkwi w indywidualnościach wybijających się ponad przeciętność.

Nieczęsto zdarza się, abym poświęcała więcej uwagi jakimś wypadkom we wszechświecie. Tak naprawdę nie dzieje się to nigdy. Zawsze ściśle trzymam się moich ksiąg. Wiem, co było, co jest i co będzie. Nie ma powodu, bym podchodziła emocjonalnie do historii, które się dzieją na moich oczach. Jednak pewnego razu dałam się wciągnąć. To, co się wydarzyło, wywarło na mnie duże wrażenie. Tym większe, że miało miejsce w świecie ludzkim — dla mnie nieco dziwnym i bardzo odległym.

Muszę zaznaczyć, że świat ten podlega moim wpływom. Sami ludzie uważają mnie za tak zwaną „istotę wyższą”. Znam ich dobrze i niczego się po nich nie spodziewam, więc abym była zaskoczona musi się tam wydarzyć coś wyjątkowego. Raz tylko, ta jedna-jedyna istota wprowadziła mnie w zdumienie tak wielkie, jak nikt dotychczas.

Działo się to bardzo dawno temu — jeśli przyjąć ludzkie kryterium czasu. Dla mnie minęła zaledwie chwila, ułamek sekundy wieczności. .. W ich świecie były to czasy spokoju i radosnego życia. Dla mnie nie odznaczały się one niczym ciekawym, niczym, co mogłoby przyciągnąć moją uwagę. Jestem bowiem istotą czynu, pochłania mnie aktywność. W tamtej epoce prześladowała mnie nuda. Wykreowałam sobie, co prawda, w międzyczasie jeszcze jeden wszechświat, ale niewiele mi to pomogło. .. Materia jest taka oporna na kreację, tak schematycznie i powolnie się przekształca. .. Ach, szkoda mówić. Pozostało mi tylko jedno — pobawić się patrząc na skutki antykreacji. Postanowiłam urozmaicić życie sobie i jednocześnie im — ludziom. Otworzyłam drzwi złu. Niestety, nie okazało się to dobrym pomysłem.

Wyjaśniam tutaj, że posługuję się terminem „zło”, w celu przybliżenia postaci, której zawdzięcza się wszystko, co niszczące. Określenie to, dla mnie nie ma żadnego znaczenia, nie istnieje w moim świecie jako kryterium. Natomiast sam nosiciel tej formy aktywności jest mi bardzo bliski. I ja również wiele dla niego znaczę. Jesteśmy rodzeństwem. Nigdy nie byliśmy wrogami. I nigdy nimi nie będziemy. Różnimy się jedynie

w kwestiach dotyczących wszechświata i metod pobudzania jego aktywności.

Wypuszczenie zła na świat było oczywiście ryzykownym eksperymentem. Ale postanowiłam spróbować. Chciałam sprawdzić wiarę ludzi we mnie i ocenić jej trwałość. Bardzo się zawiodłam. Okazało się bowiem, że to nie ludzie stali się narzędziem w ręku zła, lecz zło stało się narzędziem w ręku człowieka. Usłyszałam kiedyś, jak jeden z ich mędrców powiedział: „Zło nie może inaczej szkodzić człowiekowi, jak tylko rękami samego człowieka”. I na nieszczęście miał rację.

Scenariusz wydarzeń, które miały nadejść, ukazywał się bardzo jasno. Kolejno następowały po sobie wojny, plagi, epidemie, konflikty. I kolejno moi wyznawcy odsuwali się ode mnie. Jednak nie wybierali mego brata jako swego boga. Ich wybór padał na ludzkich przywódców, prowodyrów zaistniałych tragedii, którymi kierowała pycha. Przemawiali oni tak, jakby przychodzili ode mnie — obiecywali dobro, a ofiarowywali zło. Ale czynili je sami. Ja i mój brat szybko utraciliśmy kontrolę nad sytuacją. Nasz drobny eksperyment — była nim kłótnia między braćmi — ludzie szybko rozwinęli i doprowadzili do postaci toczącej się lawinowo katastrofy. Punktem kulminacyjnym był konflikt, w którym szala zwycięstwa zaczęła się jednoznacznie przechylać na stronę zła.

Rzesze ludzi podążały za człowiekiem uznawanym za mistrza i zbawiciela. Ale dla niego liczyła się tylko władza i uwielbienie tłumów. Zawiadnął milionami ludzkich istnień. Jedynie mała garstka wstrzymywała się jeszcze przed naporem jego sił. Jednak grupa ta malała z dnia na dzień.

Należał do niej mężczyzna, który nie przystąpił do rzesz owładniętych przez idee uzurpatora zbawienia. Widział, jak ludzie umierali, ginąc dla swego przywódcy, choć nie otrzymywali nic w zamian.

Wystarczyły im czcze obietnice.

Ów człowiek postanowił, że rozpocznie walkę i dotrzymał przyrzeczenia. Nikt dotychczas nie odważył się na taki czyn. Mój bohater różnił się jednak od innych. Był indywidualnością wybijającą się ponad przeciętność i dlatego postanowiłam mu pomóc. Pamiętam, gdy wszyscy mówili: „Szalony! Nikomu nie uda się wygrać z tak licznym wrogiem”, on ich uspokajał i odpowiadał: „Uda się, potrzebna jest jedynie wiara, że Dobro istnieje i słowa, które trafią do serc i umysłów zaślepionych ludzi”. Mężczyzna ten nigdy nie posłużył się przemocą. Dzięki mnie zrozumiał, że najskuteczniejszymi narzędziami w walce z siłami zagłady są Prawda i Miłość.

Zaczął skromnie, od najniższej grupy społecznej, z której sam się zresztą wywodził. Tłumaczył, słuchał, rozumiał, współczuł, pomagał i... wygrywał. Coraz więcej ludzi dostrzegało prawdziwe oblicze uzurpatora zbawienia. Mój bohater powoli zyskiwał sławę, aż wieści o nim trafiły do uszu samego wodza, który poczuł się zagrożony. To był triumf mojego wybrańca. Jednak zawisło nad nim niebezpieczeństwo. Uzurpator nakazał schwytanie i zabicie go. Ale kolejni wysłannicy nie wywiązywali się z zadania. Przechodzili na stronę ofiary i szeregi przeciwników zła rosły w siłę. W końcu wódz legionów zagłady został sam. Sam jak palec. Nigdy jednak nie zmienił postawy. Zgubiły go pycha i ambicja. Nie umiał przegrywać. Popęłił samobójstwo.

Zwycięzca zaś, stał się bohaterem wszechczasów — symbolem prawdziwego człowieczeństwa. Nie dlatego, że wygrał.

Dlatego, że podjął walkę.

Zauważyłam, że w odróżnieniu od istot niepełnych, każdego prawdziwego człowieka cechuje odrobina szaleństwa. Ale w tym przypadku „odrobina” — to mało powiedziane. Bez wątpienia istota ta odważyła się na czyn z pozoru niemożliwy. Czyż to nie jest objawem szaleństwa?!

Okazało się jednak, że szaleństwo, jakim jest walka w obronie Prawdy i Miłości, to jedyny rozsądny wybór.

Niestety, mimo jego przykładu wielu ludzi nadal wybiera fałszywie. Dlaczego tak jest? Czy przemoc ich pociąga? Czy są na tyle głupi, by wybierać działania, które prowadzą ich do samozagłady? Czy aż tak pyszni, by mnożyć ofiary i tłumić mój głos, który się w nich odzywa?

Do dziś płacę wysoką cenę za tamten głupi pomysł na zabicie nudy. Mój brat również nie jest z siebie dumny. Nie chodzi mi nawet o to, że w każdym pokoleniu na nowo tracę wyznawców. Najbardziej boli mnie fakt, że oni żyją w fałszu. Nie potrafią rozpoznać Prawdy i wybrać Miłości jako metody działania. A przecież jest ona dla nich jedyną szansą ocalenia własnego świata i samych siebie.

Już od dłuższej chwili — w ich świecie to tysiące lat — zastanawiam się, co zrobić, aby im pomóc. Sądzę, że mam pewien pomysł. . .

Zanim go jednak wprowadzę w czyn, muszę się porządnie zastanowić.

Przekonałam się bowiem, że w kontakcie z ludźmi nie można działać pochopnie. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. . .

Moja wina

Łukasz Zawisza, kl. 1a

Był słoneczny dzień. Jak zwykle o tej porze wracałem ze szkoły. Nie byłem jednak w najlepszym humorze. Matematyk znowu wyrwał mnie do odpowiedzi. Cóż mogłem dostać? Kolejna jedynka. Jak tak dalej pójdzie, to nie zdam w tym roku. A to dlaczego? Wszystko przez te „nowoczesne” sposoby oceniania. Wszędzie tylko procenty i procenty. Człowiek się namęczy, odpowie na połowę pytań i co dostanie? Jeden. Ale coż mogę poradzić?! Tak rozmyślając nad ciężkim losem uczniów doszedłem do domu. To jedyne miejsce, w którym można odpocząć. Nawet rodzice nie są w stanie naruszyć mego spokoju, bo po prostu zamykam drzwi i ich nie słucham. Wszedłem z nadzieją, że nikogo nie ma. Ale gdy usłyszałem odgłosy tłuczonych talerzy, już wiedziałem — mama jest. Tylko ona potrafi tak tłuc naczynia. Ma po prostu do tego talent.

— Kto przyszedł? — krzyknęła zbierając kawałki porcelany z podłogi.

— To ja, mamusiu, już jestem. Co się stało? Znowu coś rozbiłaś?

— To wszystko przez tę zmywarkę. Chyba nigdy nie nauczę się jej obsługiwać. A tak w ogóle, dostałaś coś dzisiaj w szkole?

Tego pytania się obawiałem, lecz postanowiłem nic o jedynce mamie nie mówić. Dowie się na zebraniu. Przecież to i tak niedługo.

— Nie, mamusiu, niczego nie dostałem.

Zjadłem szybko obiad i pognałem do swojego pokoju. Nie ma to jak relaks podczas dobrej gry. W końcu trzeba się wyżyć po dniu pełnym stresu. Zasiadłem przy komputerem i włączyłem go. Moje nadzieje na dobrą zabawę pierzchły wraz z pojawieniem się na ekranie komunikatu. Powiadał on mnie, że komputer nie może zostać uruchomiony, gdyż

wystąpił jakiś błąd. Wciąż się jednak łudziłem, że to tylko chwilowe. Włączyłem więc komputer i jeszcze raz go wyłączyłem. I znowu to samo. No nie, tego już za wiele! Nie dość, że w szkole mi nie idzie, to jeszcze mój komputer, moje cudo współczesnej techniki, się psuje. Inni koledzy w klasie mają o wiele gorsze i starsze maszyny, a tylko moja psuje się tak często. Tak mnie to zdenerwowało, że kopnąłem w niego z całej siły i cisnąłem klawiaturą o podłogę. Hałas od razu zaalarmował mamę, która z krzykiem przybiegła na górę.

— Co ty tu robisz?! Czy ty wiesz, ile to kosztowało?! Ty myślisz, że ja mam fabrykę pieniędzy?!

— Ale mamo, on...

— Cicho! Nie zwalaj winy na przedmioty. Zabieram ci komputer, dopóki nie nauczysz się szanować czyichś pieniędzy.

— Dobra, bierz go sobie. Oszczędzisz mi dużo nerwów.

Po tej rozmowie mama delikatnie porozłączała kable i wyniosła komputer do piwnicy. Są też i dobre strony tej kary. W końcu mam miejsce na biurku, aby odrabiać lekcje. Po południu dowiedziałem się, że gdy tylko wróci tata, rodzice wyjadą do teatru. Nareszcie cały dom tylko dla mnie. O piątej oboje wyszli. Gdy tylko usłyszałem odjeżdżający samochód, pognałem do salonu. Włączyłem telewizor, wieżę i włożyłem do video mój ulubiony film — „Matrix”. Następnie poszedłem do kuchni nastawić popkorn w mikrofalówce. Wróciłem do pokoju z miską chipsów i butelką coli, i zasiadłem przed ekranem. Po pół godziny przypomniałem sobie o kukurydzy. Tak się zapatrzyłem, że zupełnie o tym zapomniałem. Wybiegłem do kuchni. Z mikrofalówki wydobywał się czarny dym. Poszedłem do niej i otworzyłem drzwiczki. W ostatniej chwili odskoczyłem. W mgnieniu oka cała kuchenka i szafka, na której ona stała, zajęły się ogniem. Wpadłem w panikę. Zaczęłem biegać po mieszkaniu w poszukiwaniu gaśnicy. Po chwili przypomniałem sobie, że mama kazała zamontować w kuchni „nowoczesny” system antypożarowy, i że w domu nie ma już żadnej gaśnicy. Skoro ten system jest taki nowoczesny, to czemu nie działa teraz?! Gdy pali się w kuchni?! Zadzwoń! Zadzwoń! Zadzwoń! Po kilku chwilach przyjechali. Pokazałem im szybko, gdzie się pali, a oni zgasili to w mgnieniu oka.

— Miałeś szczęście — powiedział jeden ze strażaków — gdybyś zadzwonił chwilę później, mógłby się spalić cały dom. Gdzie są twoi rodzice?

— Pojechali do teatru — powiedziałem roztrzęsionym głosem.

— Mają telefon komórkowy? Wypadało by ich zawiadomić.

— Mają, już do nich dzwonię.

Pobiegłem do domu, wziąłem telefon i wykręciłem numer. Po chwili sekretarka powiadomiła mnie, że abonent jest czasowo niedostępny. Pewnie znowu aparat mamy się rozładował. Wróciłem do stojącego przed domem strażaka i powiedziałem mu o tym.

— Widzę, że sam będziesz im musiał o tym powiedzieć — oznajmił i odjechali.

Ochłonąłem trochę na powietrzu i poszedłem do domu. Na szczęście spaliły się tylko dwie szafki i kuchenka. Ale czy to moja wina?! Kto mnie nauczył ufać przedmiotom i wierzyć, że one zaspokoją wszystkie moje potrzeby?

Czułem jednak, że rodzice nie będą chcieli uznać swojego udziału w tej klęsce i jak zwykle wszystko będzie na mnie...

Stańczyk

Katarzyna Żelaska kl. 4e

30 stycznia 2000 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie odbyła się premiera kolejnej inscenizacji „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Tym razem reżyserii podjął się Jerzy Grzegorzewski. Moją ulubioną postacią jest Stańczyk — określany mianem rozumnego sceptyka politycznego czy też smutnego patrioty, dowcipny i inteligentny znawca mechanizmów władzy. Jego pierwowzorem był błazen żyjący za czasów Zygmunta Starego.

W „Weselu” Stańczyk odwiedza Dziennikarza. Zarzuca mu dekadencję, brak zainteresowania sprawami narodowymi oraz niewiarę w istnienie wyższych wartości. Uświadamia też Dziennikarzowi, iż ten zbyt wiele uwagi poświęca sprawom minionym i nieistotnym. „Mącąc wodę” szkodzi porozumieniu społecznemu. Współczesnemu widzowi wszystkie te uwagi zdają się być kierowane do dzisiejszych przedstawicieli mediów i dlatego właśnie ta scena dramatu przyciągnęła moją uwagę. W pierwotnym wizerunku Stańczyka reżyser (a zarazem scenograf) — Jerzy Grzegorzewski i twórca kostiumów — Barbara Hanicka wprowadzili pewną, wydaje mi się istotną, zmianę. Błazen u Wyspiańskiego występował w charakterystycznej czapce z dzwoneczkami i oślimi uszami, tak jak go przedstawił na swych obrazach mistrz Matejko. W nowej wersji zmienia on owo zabawne nakrycie głowy na trzymane oburącz skórzane chomąto.

Jest to przedmiot, który ma szczególne znaczenie symboliczne — kojarzy się z uciemieniem, ciężką pracą, narzuceniem swej woli przez silniejszych i niemożnością przeciwdziałania ich poczynaniom. Stańczyk posługuje się rekwizytem, będącym dla mnie kwintesencją przemocy, terroru i znoju. Być może w inscenizacji Grzegorzewskiego królewski błazen powrócił, aby po raz kolejny przestrzec Dziennikarza, a co za tym idzie i nas wszystkich, przed zagrożeniami, jakie na nas będą czyhać, jeżeli nie zmienimy swego biernego i wprost lekceważącego stosunku do takich pojęć jak ojczyzna czy patriotyzm. Według tej interpretacji przesłanie mojego bohatera brzmiałoby: — Strzeżcie się, bo jeżeli nie zatrzymacie się w swych nieodpowiedzialnych zachowaniach, państwo stanie się słabe i takie właśnie chomąto „zarzucą mu na szyję”, po raz kolejny w dziejach Polski, silniejsi partnerzy polityczni.

Owa część uprząży może mieć także zgoła inną symbolikę. Błazen Jagiellonów w spektaklu Grzegorzewskiego niesie je tak, jakby było mu ono założone na kark. Może więc chodzi tu o abstrakcyjny opis trudu, jaki towarzyszy moralizatorowi, który tak jak historyczny Stańczyk, widzi w działaniach polityków błędy i niekonsekwencje i próbuje je ujawnić. Scenę tę możemy potraktować także jako naukę dawaną uczniowi przez mistrza, mówiącą o powinnościach wobec widzów i czytelników, o olbrzymim znaczeniu mediów w obecnych czasach, a także o konieczności chronienia walorów etycznych istotnych dla dobra społecznego.

W postaci Stańczyka uwagę widza przyciągają także gesty, które w miarę rozwoju akcji nabierają coraz dziwniejszej wymowy. Na przykład w czasie swego monologu ze wściekłą pasją, oddającą poziom nienawiści, trzaska on swym rekwizytem o ziemię. Szalony taniec całego ciała i charakterystyczny, okrutny grymas twarzy, towarzyszące tej czynności, mogą być interpretowane jako symboliczne przedstawienie wstępu i dezaprobaty wobec wszelkich przejawów ciemnienia. Błazen zachowuje się

tak, jakby chciał zniszczyć chomąto, jakby pragnął, aby rozprysło się ono na tysiąc kawałków, niczym szklany przedmiot ciskany o ziemię. Może być to więc skierowany do Dziennikarza apel, aby odrzucił współcześnie ograniczające go uwarunkowania, na przykład takie jak chęć zarobienia na obiegu informacji wielkich pieniędzy oraz zabieganie o poczytność kosztem rzetelności tworzonych materiałów.

Możliwe jest także, że Stańczyk chce przypomnieć przedstawicielowi mediów, że to właśnie on, jako reprezentant grupy ludzi mogących wpływać na sumienie społeczne, powinien przeciwdziałać zniewoleniu, bierności, pobudzać aktywność intelektualną i wrażliwość etyczną oraz zachęcać do działania.

Stańczyk Grzegorzewskiego wykonuje także inny gest. W pewnej chwili siada w dość dwuznaczny sposób na chomacie, jakby chciał w ten sposób okazać swe lekceważenie. To zachowanie można również interpretować z dwóch stron. Po pierwsze, przy założeniu, iż błazen chce motywować swego słuchacza do działania — scenka ta miałaby wydźwięk optymistyczny. Głosiłaby, iż zadania stojące przed współczesnym Stańczykiem, nie są aż takie trudne, a przeszkody — możliwe do pokonania. Jednak wulgarność, z jaką zachowuje się mój bohater wykonując ruchy przypominające akt seksualny, kieruje skojarzenia na troszkę inny tor.

Wydaje się, iż tym zachowaniem zarzuca on Dziennikarzowi oraz jego kolegom po fachu lekceważący stosunek do odbiorców oraz niechęć do podejmowania zagadnień naprawdę istotnych i użytecznych społecznie, na rzecz pogoni za płytką, a niestety coraz popularniejszą rozrywką, tanią sensacją oraz łatwym i nieskomplikowanym wizerunkiem świata, w którym największymi problemami stają się: aktywność seksualna, smak margaryny i nowy zapach mydła.

W zachowaniu Stańczyka dopatruję się także potępienia przez Grzegorzewskiego mediów. Scena ta służy być może ukazaniu wyuzdania moralnego dziennikarstwa, dla którego w XX wieku przestały istnieć tematy „tabu” czy nienaruszalne świętości. Wulgarność tej pozy jest odzwierciedleniem poziomu kultury, jaki prezentują przeciętni przedstawiciele mediów. Można także uznać, że Stańczyk u Grzegorzewskiego, za przeproszeniem, „podciera sobie tyłek” chomątem. Być może reżyser próbuje ich w ten sposób przestrzec przed popadaniem w nadmierne zadufanie i poinformować, że odbiorcy widzą nędzę etyczną dziennikarstwa i rozumieją, jak są traktowani.

Stańczyk, zbiegając ze sceny, ponownie zarzuca sobie chomąto na szyję. Według mnie reżyser próbuje w ten sposób powiedzieć, że niezależnie od tego, jak ciężka byłaby rzetelna służba dla dobra społecznego, jest to święty obowiązek i trzeba ją podejmować, aby uniknąć popadnięcia w uprawianie czegoś, co można by nazwać za Wyspiańskim „mąceniem wody, truciem serc i głów”.

W inscenizacji „Wesela” Jerzego Grzegorzewskiego, postać Stańczyka i jej dialog z Dziennikarzem są kwintesencją stanu dzisiejszych mediów — tworu o tysiącu „przewrotnych” twarzy (w tym prymitywnych i wulgarnych), a także tego, jakie powinny one być. Ich zadaniem ma być rzetelne obrazowanie realiów, zaangażowanie w problemy współczesne, a także bieżąca informacja mająca na celu chronienie odbiorców przed zagrożeniami, jakie kryją się w otaczającym nas świecie. Media winny podtrzymywać świadomość narodową, budzić zainteresowanie dorobkiem kultury światowej oraz pogłębiać znajomość stosunków społecznych, mechanizmów

i zależności. Powinny to robić po to, abyśmy nie stali się łatwym łupem dla graczy politycznych i gospodarczych i umieli odnaleźć swoje miejsce w nowej, dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości.

Cieszę się, że Jerzy Grzegorzewski inscenizując „Wesele” postanowił im o tym przypomnieć.

Judyta z głową Holofernesa

Kamil Ciesielczyk, kl. 2a

Obraz „Judyta z głową Holofernesa” powstał w Bolonii około 1562 roku i przypisywany jest Lorenzo Sabatiniemu.

Dzieje Judyty, słynnej bohaterki biblijnej, opisane są w osobnej księdze Starego Testamentu uznanej za apokryf przez protestantów, ale zachowanej w kanonie przez Kościół Katolicki. Kiedy asyryjski wódz Holofernes oblegał miasto judejskie — Betulię, Judyta — piękna wdowa z Betulii — postanowiła go zabić. Zyskawszy jego zaufanie, odcięła mieczem głowę śpiącego wodza, ratując tym samym mieszkańców miasta. Nigdy wcześniej ta scena nie była ukazywana równie dramatycznie, ale już wkrótce epizod ten miał się stać jednym z najbardziej dosadnych, realistycznie przedstawionych tematów w malarstwie Caravaggia i jego naśladowców.

Sabatini w sposób szokujący odtworzył scenę śmierci wodza asyryjskiego. Na pierwszym planie widzimy Judytę trzymającą w jednej ręce miecz a w drugiej głowę zabitego. W drugim planie znajduje się łożo z ciałem mężczyzny bez głowy.

Trudno określić porę dnia, gdyż cała akcja toczy się przy sztucznym świetle, zapewne padającym od świecy stojącej na stole. Wydaje się, sądząc po wyrazie twarzy Holofernesa, że jest to wieczór lub noc. Najjaśniejsze światło pada na Judytę a dziwnym trafem omija ściętą głowę. Jest to blask dość intensywny, o zaskakująco miłej tonacji. Trochę słabsza poświata otacza martwe ciało, z którego broczy krew. Klimat portretu jest groźny. Choć współczesnego widza może śmieszyć, iż wielki rycerz dał się podejść kobiecie. Śmiech u niektórych może także wywołać sposób, w jaki malarz ukazał tryskającą strumieniami z ciała zabitego krew.

Judyta jest przedstawiona w dość specyficzny sposób. W jednej ręce trzyma miecz splamiony krwią. Jednak nie chwyta go jak nieświadoma obchodzenia się z bronią, zwykła niewiasta. Dzierży go niczym zawodowy żołnierz. Widać, że bardzo pewnie włada tym ciężkim narzędziem zbrodni. Uwagę przyciągają też dość potężnie umięśnione ręce o spracowanych dłoniach i brudnych paznokciach. Tworzą one szokujący kontrast z resztą ciała, które jest dość filigranowe. W drugiej ręce Judyta trzyma głowę zmarłego. Obie dłonie pokrywa krew. Rysy twarzy są bardzo delikatne, jak u dziecka. Po uśmiechu można stwierdzić, że dziewczyna jest zadowolona z siebie, choć lekkie rumieńce świadczą być może o niewielkim zawstydzeniu. Natomiast oczy budzą przerażenie, gdyż skierowane są wprost na odbiorcę. Przenikliwość spojrzenia przyprawia o dreszcze.

Drugą postacią jest Holofernes. Jego ciało, bez głowy, spoczywa na łożku. Nie jest jednak zwiotczałe, lecz robi wrażenie, jakby wciąż jeszcze żyło. Świadczą o tym napięte mięśnie oraz skośne ułożenie. Za tym, że Holofernes dopiero przed chwilą został zamordowany, przemawia krew

tryskająca z jego karku na wszystkie strony. Głowa wielkiego wodza znajduje się w rękach kochanki. Oblicze, w odróżnieniu od reszty ciała jest szare, tak jakby światło omijało to miejsce. Usta są otwarte. Wydaje się, że za chwilę wydadzą jakiś krzyk czy westchnienie. Czarne i podpuchnięte oczy to zapewne skutek nieprzespanej nocy spędzonej na baraszkowaniu. Twarz zachowała wyraz miłosnej ekstazy. Oczy skierowane na widza zdają się mówić: „Patrzcie, w jakim jestem stanie! Ja, wielki wojownik i wódz asyryjski!!!”

Obie postacie znajdują się w jakimś pomieszczeniu, zapewne w namiocie Holofernesa. Jest on mały i przytulny. Położony był zapewne w najlepiej strzeżonej części obozu najeźdźców. Nic dziwnego, że przywódca Asyryjczyków czuł się pewnie. Ale poczucie bezpieczeństwa okazało się mylące. To ono zgubiło niepokonanego wojownika. Okazało się, że łatwiej zachować życie na polu bitwy, niż u boku zniewolonej kobiety udającej uległość i oddanie.

Judyta trzyma w ręku typowy żołnierski miecz, który jest symbolem śmierci oraz władzy. Należał on zapewne do zabitego. Miecz ten nieraz splamiony został krwią ofiar wojennych sukcesów wielkiego wodza. Teraz sam Holofernes uległ jego sile i nic nie mogło mu pomóc — nawet piękny, bogato zdobiony hełm, który leży na stole obok odrąbanej głowy.

Ciekawym elementem ubioru Judyty jest wykończenie dekoltu sukni, na którym daje się zauważyć wyhaftowaną ludzką twarz. Wydaje się, że jest to symbol dwulicowości tej kobiety. Na pierwszy rzut oka to piękna niewiasta o delikatnych rysach twarzy, która kocha wszystkich całym sercem. Zdaje się być nawet lekko naiwna. Ale jej prawdziwe oblicze to twarz bezwzględnej samicy, która aby uratować siebie samą i bliskich jest w stanie zrobić wszystko — nawet zamordować z premedytacją człowieka.

Trudno jest wyobrazić sobie dokładnie uczucia sportretowanych postaci. Wielki wódz, chociaż już martwy, to zapewne, sądząc po ułożeniu ciała, jeszcze odczuwa skutki doznanego przed chwilą orgazmu. Nie zdążył chyba nawet uświadomić sobie, co go spotkało. Judyta także sprawia wrażenie, jakby nie dotarła do niej jeszcze groza własnego czynu. Wydaje mi się, że czuje się ona tak, jakby brała udział w jakiejś dziwnej zabawie z pogranicza koszmarnego snu. Sabatini, według mnie, wręcz apoteozuje Judytę za to, z jaką sprawnością uwolniła własny naród od bezwzględnego wroga. Wyraz jej twarzy zdaje się świadczyć, że może ona zrobić to z każdym, kto próbowałby zagrozić życiu jej bliskich.

Obraz Sabatiniego staje się ostrzeżeniem skierowanym do ludzi, którzy zbyt ufają własnej potędze i dają się upoić sukcesom życiowym. Malarz przedstawił tu także ostatnie chwile człowieka, który myśli tylko o tym, jak zaspokoić własne żądze. Artysta stwierdza, że takie życie jest przyjemne do czasu. Gdy przekroczy się pewien próg, zostanie się za to ukaranym. Sabatini przedstawia także przerażającą dwulicowość niektórych ludzi, którzy są w stanie przystosować się do każdej sytuacji i wykorzystywać słabości innych dla realizacji własnych celów.